ROK I. CHICAGO, dnia 23-go Sierpnia, 1883. **No. 34.**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1,00, bez Gazety $1,50.

Za redakcyą odpowiedzialne Pol. Lit. Tow. w Chicago. Listy i korespondencye adresować należy: Polish Literary Society, albo: W. Smulski, 606 Noble Street, Chicago.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu "Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SLOWIANSKI:
Czwartek, 23 Sierpnia	Filipa Benicyusza w.	Cichomił.
Piątek, 24 Sierpnia	Bartłomieja ap.	Cieszymir.
Sobota, 25 Sierpnia	Ludwika kr.	Namysław.
Niedziela, 26 Sierpnia	15 po Św. Zefiryna p.	Włastymira.
Poniedziałek, 27 Sierpnia	Przeniesienia ś. Kazimierza	Przedzisław.
Wtorek, 28 Sierpnia	Augustyna b., Ojca Kość.	Wyszomir.
Sroda, 29 Sierpnia	Scięcia ś. Jana Chrzciciela	Racibor bł

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ PIĘTNASTĄ PO ŚWIĄTKACH.

Ewangelia u św. Łukasza w rozdziale VII.

Onego czasu szedł Jezus do miasta, które zowią Naim, a z Nim szli uczniowie Jego i rzesza wielka. A gdy się przybliżył ku bramie miejskiej, oto wynoszono umarłego, syna jedynego matki jego, a ta była wdowa, a rzesza miejska wielka z nią, którą ujrzawszy Pan, ulitował się nad nią, i rzekł jej: Nie płacz. I przystąpił i dotknął się mar, (a ci, co nieśli, stanęli) i rzekł: Młodzieńcze, tobie mówię wstań. I usiadł ów, który był umarły, i począł mówić: i dał go matce jego. A zdjął wszystkich strach i wielbili Boga, mówiąc: Że prorok wielki powstał między nami; a iż Bóg nawiedził lud swój.

JASNA GÓRA.

Sławny na całą Polskę jest obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w klasztorze na Jasnej Górze. Niezliczonych łask doznawali tam ludzie różnemi czasy i dotychczas spieszą tamdotąd tysiące pobożnych z wszystkich dzielnic Polski, aby przed obrazem Patronki i Królowej naszego narodu złożyć brzemię cierpień i potężnej Jej wzywać opieki.

Obraz ten znany każdemu Polakowi, miał wedle podania być wymalowanym przez św. Łukasza na stole cyprysowym, przy którym Najświętsza Panna zwykle się modliła. Gdy w czasie zburzenia Jerozolimy obraz ten wraz z innemi świętemi pamiątkami zaginął, nie wiedziano długo, gdzie się znajduje; aż dopiero matka cesarza Konstantyna W., św. Helena, szukając w Jerozolimie drzewa Krzyża św. i innych świętych pamiątek, i ten obraz znalazła i przywiozła ze sobą do Konstantynopola. Jeden z następców Konstantyna podarować miał ten obraz cesarzowi Karólowi W., który go zachował w Akwizgranie i później podarował jednemu z książąt słowiańskich, który go zawiózł na Ruś do miasta Bełza. Ztamtąd odebrał go Władysław Opolczyk, siostrzeniec króla polskiego Ludwika, i przeniósł do Opola, poczem wskutek widzenia, jakie miał we śnie, zbudował klasztor wspaniały na Jasnej Górze pod Częstochową i tamże obraz umieścił. Do klasztoru sprowadził zakonników św. Pawła, Paulinów, z Węgier.

Pobożni przodkowie nasi obdarzali klasztor rozlicznemi darami, tak że skarby nagromadzone sprowadzały nań różnych nieprzyjaciół, którzy wpadali w granice Polski, pustoszyli kraj i na klasztór się rzucali, aby go zrabować. Najcięższe były dla klasztoru czasy za panowania Jana Kazimierza. Wtenczas to Szwedzi najechali Polskę, opanowali główne miasta, a król niemając wojska, za granicę schronić się musiał. Jenerał szwedzki Miller ułakomił się także na skarby częstochowskie i w roku 1655 nadciągnął pod mury klasztorne z 9 tysiącami żołnierza i 19 działami, i zażądał, aby klasztor, który zarazem był małą forteczką, przyjął załogę

szwedzką, zaręczając, że klasztor sam żadnej nie poniesie krzywdy, ale że tylko o to chodzi, aby forteca poddała się królowi szwedzkiemu. W klasztorze było 68 zakonników, 160 żołnierzy i reszta szlachty, która się tamże schroniła, razem około 400 ludzi, prócz niewiast i dzieci. Jednomyślnie oświadczyli wszyscy, że się nie przeniewierzą królowi swemu i nie poddadzą twierdzy Szwedowi, który wszędzie okazał się wiarołomcą i okrutnikiem i pomimo danego słowa rabował i mordował. Ciężkie to były chwile. Oblężenie trwało od 18 listopada aż do drugiego święta Bożego Narodzenia. Miller wszelkich użył sił, aby klasztor zdobyć, ale załoga jego broniła się dzielnie pod dowództwem przeora, ks. Augustyna Kordeckiego, który wraz z Stefanem Zamojskim obroną umiejętnie kierował i upadających na duchu krzepił i zagrzewał. Według obliczenia rozumu ludzkiego nie było podobieństwem, aby klasztor w obec takiej siły nieprzyjaciół mógł się utrzymać, ale oblężeni niezachwianą mieli ufność w opiekę Najświętszej Panny i ta nadzieja ich nie zawiodła. Miller nic nie wskórawszy, ze wstydem odstąpić musiał od oblężenia, a sami Szwedzi, protestanci, zeznawali, iż w czasie oblężenia mieli różne widzenia nadziemskiej niewiasty, która klasztor zasłaniała; a kule armatnie dziwnym sposobem odbijając się o mury klasztorne, raziły samych nieprzyjaciół.

Gdy król, zebrawszy wreszcie dostateczną ilość wojska, powrócił i kraj od nieprzyjaciół oczyścił, z wdzięczności za doznaną opiekę całe swe królestwo Najświętszej Pannie poświęcił i Królową Polską ją ogłosił.

I Moskale w ostatnich czasach niejednokrotnie niepokoili klasztor, jednakże świętości jego tknąć nie śmieli. To też dziś jeszcze strapione serce polskie tam szuka ulgi i pociechy i krzepi się nadzieją, że gdy minie czas doświadczenia, gdy Polacy czynnie pokażą, że są godnymi Królowej Polski poddanymi, i porzucą sztandar niedowiarków i fałszywego liberalizmu, wtenczas też i Królowa przyzna się do Swych poddanych i cudowną Swą prawicą wróci im berło wydarte.

Częstochowa leży nad rzeką Wartą, od Krakowa oddaloną jest o cztery mile; Jasna Góra z warownym swym klasztorem wznosi się o pół mili za miastem.

Panowanie króla Aleksandra.

Aleksander, brat Jana Olbrachta, rządził jak wiadomo, na Litwie, gdzie go wcale nielubili, a zwłaszcza lud ruski, bo bardzo wiarę ruską prześladował. Nie godziło mu się czynić tego, boć kiedy Rusini byli tak dobrymi Polakami jak i katolicy, po co im w wierze przeszkadzać. Ściągnął on też nie mało nieszczęścia na kraj, bo wielu Rusinów jeno nad tem przemyśliwało, jakby się nad katolikami zemścić, co im się udało, a to takim sposobem.

Jedna część Rusi, co się przezwała Moskwą, była pod rządami tatarskiemi, a było już 250 lat tych tatarskich rządów natenczas, kiedy Aleksander rządził na Litwie. A przez te 250 lat kniaziowie moskiewscy, aby się utrzymać przy rządzie, nietylko się opłacali wielkiemi pieniędzmi starszemu nad wszystkimi Tatarami, co go zwali chanem, ale kiedy posłannik chana jechał do Moskwy, to kniaź czyli król moskiewski wychodził o milę pieszo za miasto z mlekiem klaczy, aby posłannika przy jego witaniu uczęstować. A jak posłannik pił a kropla tego mleka upadła na grzywę końską, to ją kniaź co prędzej zlizywał. I listu chańskiego inaczej kniaź moskiewski nie słuchał, tylko klęcząc z całym swoim dworem. Często też kniaź kniazia złapał, i aby po nim rządzić, zapłacił drogo sługom chana, aby powiedzieli, że to buntownik. A za wyrokiem rozpruli mu bok, zawiesili przy sercu drzewo, i tak musiał biegać na polowania po lasach dla zabawienia chana i jego gości. Skoro tak wskazany kniaź moskiewski skonał, sąd tatarski porąbał jego ciało w kawałki, a żaden z krewnych nie zapłakał, tylko klęcząc bili czołem przed chanem. Przy mieście Moskwie wybudowano gród, który nazywano po tatarsku kremlem. Na kremlu mieszkali policyanci tatarscy, którzy wszystko szpiegowali co się działo w Moskwie, a co prędzej chanowi donosili. A na kremel żaden Moskal i sam kniaź inaczej nie szedł jeno pieszo, a wszedłszy bił czołem pokłony. Jak się z kniaziami obchodzili Tatarzy, tak samo oni ze swoim ludem, bo jak Tatarzy na kremlu szpiegowali kniazia, tak kniaź trzymał szpiegów

na cały swój kraj, a posądzał ludzi o zmowy i spiski, a potem okrutnie karał, bo kazał ucinać nosy, uszy, ręce, nogi, a ten pień człowieka co został, kazał bić aż skonał. Kniaziowie najwięcej przesiadywali przy chanie, i tam patrząc na okrucieństwa tatarskie, w swoim kraju je zaprowadzali. Nietylko kniaziowie ale i biskupi moskiewscy przesiadywali przy chanie, bo tak Tatarzy chcieli, i tam się wyuczyli bicia pokłonów. Potem też kazali ludowi bić pokłony przed sobą, a na koniec i przed Panem Bogiem tak, że całem nabożeństwem u Moskali są pokłony, modlitwa za kniazia, i nic więcej.

Nic dziwnego, że przez 250 lat tak srogiej niewoli cały naród moskiewski zdziczał i zgłupiał jak nie ludzie; sumienia już nikt nie miał, a patrząc na największe okrucieństwa, jeden drugiego nie żałował. Nikt się o zbrodnię i cnotę nie pytał, każdy kradł i odzierał gdzie mógł, a nikt się tego nie wstydził. Znikczemniały naród tak sobie upodobał niewolę, że komu darowano wolność, to się sprzedawał Żydowi albo Tatarowi. Kogo kniaź wyrokiem skazał na kije, to było z tego chwalby nie mało, a kogo wytłukł doskonale własną ręką, to było szczęściem bez miary. W całym narodzie wyższy bił i zabijał niższego, mocniejszy słabszego; mąż, czy to kniaź czy chłop bił żonę, a jak jej długo nie obił, to myślała, że jej nie kocha. Wolności innej nie rozumiano, tylko kraść, rabować i żyć najrozpustniej. Nic nie zostało słowiańskiego w Moskalach, aby jedna mowa, ale i ta jeszcze poprzekręcana i pomięszana z tatarską, tak, że ją ciężko dla Polaka i rozumieć. Wiara została niby chrześciańska, boć się chrzcą i chodzą do spowiedzi, ale doprawdy wszystko w niej tatarskie, bo popi moskiewscy nauczają: że czem Bóg w niebie, tem kniaź czyli car na ziemi.

Kiedy Aleksander rządził w Litwie, w Moskwie panował kniaź Iwan, którego dla wielkiego okrucieństwa nazywano okrutnym. — Pierwszemu Iwanowi zaczęli Moskale z tatarska mówić car. Zdarzyło się za cara Iwana, że się Tatarzy bili między sobą, potem zagarnęli Turcy Tatarów w swoje poddaństwo, więc i Moskale co prędzej wypędzili rząd tatarski od siebie, a od tego czasu już się nikt nad carem nie

pastwił, tylko on nad całym swoim narodem. Teraz miarkujcie, czemu to Moskale, co zagrabili Polskę, jeszcze po dziś dzień tacy okrutni, boć to we wszystkiem ci sami Tatarzy, co dawniej Polskę łupili.

Iwan okrutny dowiedział się, że Aleksander prześladuje ruską wiarę, i że Litwa osłabiona, bo odłączyła swoje rządy od polskich. Posyła więc co prędzej do panów ruskich, o których wiedział, że za wiarę prześladowani nieżyczliwi są Aleksandrowi i kazał im powiedzieć: że chce bronić ich ruskiej wiary od prześladowania katolickiego, byle się z nim tylko połączyli. Rusini nie znali jeszcze chytrości moskiewskiej i przystali na pomoc cara, wymówili sobie tylko: iż chcą zostać wolnym narodem sami w sobie a nie łączyć się z Moskwą. Car na wszystko przystał i zaraz doniósł Tatarom, że Litwa słaba i napaść ją mogą, a potem szedł z wojskiem na Ruś litewską i niszczył ją ogniem i mieczem okrutnie, zagarniając miasto po mieście aż stanął pod Smoleńskiem. Broniło się to miasto odważnie aż się i obroniło, ale Aleksandrowi, jak się Litwa od Polski oddzieliła, ciężko było tyle wojska zebrać, żeby mógł pobić Tatarów i Moskali, więc szukał z carem pokoju, i odstąpił Moskwie spory kawał Rusi, bo aż po rzekę Ugrę, tak, że miasto Smoleńsk zostało przy Litwie, a miasto Wjazma odpadło już do Moskwy. Działo się to w r. 1494. Do tego jeszcze jakby na ukaranie przyrzekł się ożenić Aleksander z carską córką, bardzo zatwardziałą w moskiewskiej wierze, co też uczynił. Przyjechali też zaraz z carówną Moskale do Wilna, którzy tak Aleksandra szpiegowali i donosili o wszystkiem swemu carowi, jak tatarska policya. Gniewało to szpiegowanie Aleksandra, gniewało i panów litewskich, więc wypędzili Moskali zkąd przyszli. Otóż to wypędzenie szpiegów bierze car za przyczynę do wojny, choć prawdziwa przyczyna była ta: że widząc Litwę słabą, zasmakowało mu ruskie ziemie zagrabić. Wchodzi w 40 tysięcy Moskali na Litwę; Aleksander zbiera wojsko jak może i wysyła przeciw Moskalom, kiedy w tym samym czasie umiera Jan Olbracht. Posyłają więc teraz Litwini co prędzej do Polaków, żeby Aleksandra na króla

obrali, i że chcą już mieć z Polską po wiek wieków jeden rząd i pozostać jednym narodem. Połacy przystali, Aleksander zjechał co prędzej do Krakowa, gdzie go też zaraz i ukoronowano. Moskwa odeszła też niedługo z Litwy, bo gdzie indziej musiała iść na wojnę, ale car bez ustanku podmawiał Tatarów, aby Polskę i Litwę nachodzili, bo tym sposobem chciał te kraje osłabić, a jak będzie można urwać znowu Rusi.

Tymczasem król Aleksander różnemi sprawami to w Polsce to w Litwie się zatrudniał, a miał z Krzyżakami kłopot, bo mistrz się upierał i hołdu złożyć nie chciał, kiedy w Radomiu na sejmie zły wiatr króla zawiał i zaraziło go przez połowę ciała. Wyleczył się trochę i jechał zaraz do Litwy, bo trzeba było zbierać wojsko na Tatarów. Król Aleksander nie mógł już chodzić, więc się kazał nosić, aby dodawać ochoty do zbrojenia; kiedy oto dzicz tatarska już się na Litwę sypie i zaraz jeden oddział lud zabiera w niewolą i rabuje. Wyruszyło wojsko co tchu za tym oddziałem, niewolnika i łup odbiło, a Tatarów w kapustę zesiekło. Uszło jednak kilku z pod litewskich mieczy, więc też spieszą co prędzej do tatarskiego obozu i swoich przestrzegają, i kiedy wojsko nadciągnęło pod wodzem Michałem Glińskim, już Tatarowie stali w szyku bojowym. Rozpoczęła się bitwa, a wtedy też i wojsko polskie nadciągnęło, co widząc Tatarzy zaczęli uciekać. Wtedy wojsko litewskie zapędziło Tatarów nad rzekę w miejsce błotniste, a co się nie utopiło, to zabili, tak, że padło w tej bitwie 20 tysięcy Tatarów. Było to w roku 1506.

Król Aleksander był konający, kiedy go doszła wiadodomość o zwycięztwie nad Tatarami; zalał się łzami, podniósł ręce w górę dziękując Bogu, a potem skonał. Krótko królował Polsce, bo nie spełna lat pięć, a przez ten czas najwięcej przesiadywał na Litwie.

DAWNE PRZYSŁOWIA.

Kiedy niedźwiedzia raz przemożesz, już go gdzie chcesz za nos powiedziesz.

Kto ojcu nie wycierpi, ten drugim oczy wyłupi.

Gdzie dwaj rzekną, żeś pijany, możesz iść spać bez nagany.

Z życia naszych kapłanów na wygnaniu.

KILKA ODERWANYCH KARTEK ZE WSPOMNIEŃ WYGNANCA.

Zebrał **Feliks K....**

(Ciąg dalszy.)

Odbiegając trochę od przedmiotu, nie mogę pominąć tego faktu, maluje on bowiem dostatnio rosyjskie stósunki, — anarchią władz i niezbędne niemal nadużycia. Pewnego razu zaprosił mnie na śniadanie samego tylko, i gdy potem podano nam kawę i fajki, sam z pewnym rodzajem ubolewania opowiedział mi rzecz całą.

— Przechodzące Suchoną barże (ładowne towarami olbrzymie statki, ciągnione przez parowce) — rzekł z uśmiechem, muszą tu zatrzymywać się przed wejściem na pół. Dźwinę, dla skonstatowania, czy są zdatne do dalszej drogi na burzliwej rzece i czy ludziom na nich zajętym nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Statków przechodzi tutaj do Archangielska do trzech tysięcy w ciągu odpowiedniej pory, tj. od początku maja lub czerwca do października. Towary, z połowy niemal Rosyi, tą drogą prowadzone, bywają ładowane w Archangielsku na okręty dziesięciu narodowości i zatrzymanie barż w Ustiugu, choćby tylko na dni pięć lub sześć, na ogromne straty kupców by naraziło. Prawo jednak wymaga, aby na Dźwinę wchodziły tylko statki opatrzone mojem świadectwem, które i inżynier tu podpisuje. Rewizyą dna i boków tych barż ładownych można odbyć w dniu jednym, nawet w pięciu minutach, nie wychodząc z biura, tj. podpisując na ślepo statkowe papiery. Można jednak także, pod setką pozorów, zatrzymać cały konwój dni pięć i dłużej, wynajdując różne poprawki, uznając nawet, że nowego potrzebują osmołowania itp. Słowem, bez ściągnięcia na siebie odpowiedzialności, można kupców narazić na niepowetowane straty, szczególniej gdy się zauważy, iż okręty w ciągu sezonu muszą kilka odbyć podróży, i że w jesieni, w pewnym oznaczonym terminie, muszą także opuścić rosyjskie brzegi i unikając lodów, pójść spiesznie na pełne morze. Widzisz pan tedy — i my żyć musimy. Sypią się zewsząd tysiąc

rublowe obligacye, a ja wydaję świadectwa i barże płyną dalej.

Słuchałem go zdumiony.

— Gdyby jednak wyższym władzom donieśli o tem kupcy? — spytałem naiwnie.

— Wyższe władze są głuche na podobne zażalenia; musiałbym chyba pałką rozbijać w dzień biały, aby mnie z posady usunięto. Zresztą — kupcy na zmianie straciliby tylko — odparł najspokojniej w świecie. Mnie znają, wiedzą, że mam liczną rodzinę, nie obdzieram ich jednak, nie prześladuję formułkami, i czy mi wsuną pod papiery na moim sekretarzyku trzy tysiące, tysiąc, czy pięćset tylko rubli — przyjmuję z wdzięcznością — przyjmuję co bądź, byle dawano tylko. Ot n. p. wczoraj, jeden kupiec przyszedł tu i powiedział mi: słuchajcie, panie naczelniku, ja jestem niemal bankrutem, a mam dzieci w domu — i dajcie darmo zaświadczenie!

— I pan....

— Ugościłem jeszcze biedaka w domu moim i pożyczyłem na drogę trzynaście stówek z mych własnych pieniędzy. Bóg mi to odda w dziesięcioro!

Ta ostatnia sentencya uderzyła mnie — pan Ł. bowiem wymówił ją zupełnie seryo, a rzecz iście zabawna, że z głęboką wiarą.

— Gdybyś pan jednak — mniej spuszczał się na ten rodzaj opatrzności? — gdybyś nic nie brał a dawał świadectwa według sumienia?

— Jutro wyższe władze wyrzuciłyby mnie z posady i zostałbym z pięciorgiem dzieci na bruku. U nas tu panie w Rosyi, przy takim rządzie, niema rady! — Trzeba iść z prądem, albo ginąć z głodu!

Miałem dość tego, o czem się dowiedziałem — smutne jednak wrażenie wywarło na mnie to opowiadanie — gdyż pan Ł. był mimo wszystkiego dobrym bardzo człowiekiem i przy tych nadużyciach okazywał nieraz wiele serca.

Jakiż to srom dla rządu, co do takich czynów zmusza niemal i panuje tylko demoralizacyą i upodleniem.

IV.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia — mieliśmy smutne jakieś przeczucia, dzięki jednak wielkiemu sercu biednego, skromnego zakonnika, opromieniły nam wszystkim pobyt na wygnaniu.

Wy czytelnicy, którym burze żywota nigdy nie zasępiły spokoju, a których, jeżeli niedola zagościła pod strzechą, to pod własną, to na własnej ziemi, z trudnością zapewne pojmiecie, jak to boleśnie w dniach świąt o tyle religijnych, o ile i narodowych, być samemu, opuszczonemu, zdala od wszystkiego — co się kocha! Gdyby przynajmniej można niemyśleć, niepamiętać przeszłości — zatrzeć w sercu i zerwać z przed oczu przesuwające się we mgle oddalenia postacie drogich istot!

Wigilią wielkiego święta postanowiliśmy spędzić razem — wszyscy, ilu nas było u jednego stołu — niewykluczając nikogo z nędzarzy, ani tych, których odzież była w łachmanach — ani tych, których serce stygło w szponach caratu. Prócz hrabiego Załuskiego, który miał siostrę na Litwie i księdza Ludwika, cierpiącego niesłychanie zdala od matki, siostry Maryni i braciszka, co w moskiewskim stroju studenta rósł jednak na prawego Polaka — nikt z nas, prócz wspomnień o dawnych czasach, nie zostawił w kraju nikogo. Wszyscy moi spali od lat wielu na Powązkach — księża P. i G. nie znali nigdy swych rodzin — Załuskiego siostra żyła w świetnych warunkach, jakie stwarzają wybrańcom losu — miliony.

Pozostawał więc tylko ksiądz Ludwik, piszący co tydzień długie, serdeczne do Radomia listy — mówiący co chwila o swoich tam na Zachodzie. Gryzła go tęsknota — dręczył niepokój o los drogich sercu.

— Nie piszą mi prawdy! mawiał nam nieraz po odczytaniu świeżego listu — gdy godziny całe usiłował odgadywać z różnych wyrażeń ukrytą, jak sądził smutną prawdę — gdy, jak pisał Słowacki — rozbierał je na dźwięki — kruszył na litery. Pocieszać trudno było — a trudniej jeszcze zaradzić.

Ksiądz P. tylko od dni kilku już na miesiąc przed świę-

tami — miał minę bardzo tajemniczą — bywał często zamyślony. Raz zaszedł do mnie zupełnie niespodzianie i zwyczajem swym, bez żadnych wstępów, wyłuszczył mi, o co chodziło.

— Księdzu Ludwikowi, rzekł już w chwili, gdyśmy się witali, — winien jestem wiele, więcej, niż pan myślisz nawet, nim tu przybyłeś, gdy z nami strasznie było krucho, miesiące całe dzielił się z nami swemi zasoby, wyrobił nam msze itd. Mnie przed tygodniem spotkała wielka niespodzianka, którą, jak domyślam się, zawdzięczam także naszemu opiekunowi. Piękne jego serce, piękny charakter — muszą znaleść nagrodę. Myślałem długo — aż przecie coś wymyśliłem.

— Siadaj księże — każę podać samowar i pomówimy o tem.

— Najpierw sprawa na stół, gdyż jutro o świcie poczta odchodzi a jeszcze wiele jest do zrobienia — odparł, zacierając już ręce na samą myśl, że znalazł możność odwdzięczenia się koledze.

Usiedliśmy i zakonnik zaczął w te słowa:

— Od nieznajomej mi osoby, przy bezimiennym liście, życzącym nam wszystkim wytrwania, dostałem pięć dni temu trzysta rubli z prośbą, abym połowę zatrzymał sobie, a połowę między drugich księży i innych zesłanych rozdzielił. Pan niepotrzebujesz zapomogi, ja także ani żaden z nas, ale tych dwóch biedaków niedawno tu zesłanych, choć mają inne jeszcze grzeszki prócz politycznych na sumieniu, pominąć nie można. Damy im więc po trzydzieści rubli, a pozostałe dwieście czterdzieści użyjemy na sprowadzenie ks. Ludwikowi jego rodziny. No, cóż pan na to?

Zakonnik wytrząsnął mi swój pomysł jak z rękawa, od razu — nim jednak zdążyłem odpowiedzieć, już z żywością sobie wrodzoną mówił dalej:

— Ksiądz L. nieraz wspominał, iż na przyszłe lato pomyśli o wezwaniu tu swoich z Radomia, prócz brata naturalnie, który zostanie u krewnych, póki szkół nie ukończy. Czemuż więc czekać przyszłego roku? Za dwieście rubli zajadą tu

obie, to jest matka i siostra wygodnie, a zostanie nam jeszcze czterdzieści na przyjęcie według mego pomysłu. Ks. L. dopiero wieczorem, w wigilią Bożego Narodzenia dowie się o wszystkiem — damy mu więc w ten sposób żywą gwiazdkę tym razem.

— Nie sądzisz ksiądz jednak, że tak daleka podróż w zimie dla dwóch samych kobiet....

— Nic nie sądzę.... Bóg je poprowadzi, a z Wołogdy już je dobrą telegą brat pani Misiewiczowej sam wyprawi.

Cóż miałem odpowiedzieć?

— W czemże tu jednak mogę wam być pomocnym? spytałem.

— Musisz pan zaraz napisać do pani W. list obszerny, wytłumaczyć jej to jak należy i ułożyć pismo w ten sposób, aby się wszystko udało. Trzeba jej napisać prawdę, wyjaśnić bez ogródek położenie biedaka. Ks. Ludwik widocznie zapada na zdrowiu — martwi się, jeżeli zaś sądzi, że go wkrótce uwolnią, to się myli! Wszak pan sam wspominałeś mi, że twoja Masza powtórzyła ci rozmowę ojca z Kochanowem: Ks. W. tak prędko nie uwolnią! a jeżeli po latach wygnania wydobędzie się ztąd, to tylko za granicę!

Napisz pan więc to wszystko matce. Jest przecież wolna; emeryturę po mężu będą jej i tu płacić, a jego Marynia lepiej, że pod okiem brata zostanie.

I jeszcze jedno: o moim planie nikt prócz pana i pani M. nie wie — liczę, że to wszystko aż do ostatniej chwili zostanie tajemnicą. (Dokończenie nastąpi.)

Śpiewka o królu Janie III.

Czy to mgła ze stawów taka czarna wstaje,
Czy szarańcza leci w niemieckie zagony,
Czy przepiórcze stado leci z onej strony?
Ani ci to czarna mgła ze stawów wstaje —
Ani to szarańcza leci na zagony —
Ani ci to stadem nie lecą przepiórki, —
Jeno co na koniach czarne pędzą Turki.

Lecą Turki, lecą, szable się im świecą,
A co jeno żyje, po norach się kryje,
A gdzie się ostali, to się wszystko pali.

Kuka w czarnym borze żałośna zazula;
Szlą Niemcy pisanie do polskiego króla:
— Hej panie Sobieski! hej ty królu polski!
Przyjdźże w imie Boga, bo nam wielka trwoga,
Turek srodze broi, mało nas nie poje.

Słucha król Jan posły i nasrożył wąsy,
Klasnął tęgo w rękę, woła na wojenkę.

Piszą Niemcy piszą, szlą drugie pisanie:
— Hej, ty panie polski! hej ty królu Janie!
Przyjdźże jeno rychło, bo tu wielkie licho,
Toć nam już trzy ćwierci do okrutnej śmierci.

Słucha król Jan posły i nasrożył wąsy,
Zagrał w srebrną trąbkę, na konika siędzie,
Polskich wojowników na wojenkę wiedzie.

Jedzie wojsko, jedzie, a król Jan na przedzie;
I wnet przyjechali kędy Turcy stali.
Westchnął król Jan z piersi: — Hej, mój Boże miły!
Na ochrzconą ziemię Turki się zwaliły.
Dodajże mi męztwa z wysokiego nieba,
Bo ich duża siła, to mi go potrzeba. —
Jeno ci to wyrzekł, popatrzy do góry,
Aż tu orzeł biały wyleciał z za chmury.
Skrzydła mu się szkliły i powietrze biły,
Usiadł Sobieskiemu na zbrojnem ramieniu.
— Hejże w imie Boskie, moje hufce polskie!
Uderzmy na wroga, taka wola Boga.
A tu hukły kotły i trąby zagrały,
Aż ci się gdzieś lasy i góry ozwały.

Siedzi wrona siedzi, pokrakuje sobie:
— A co też ja z temi poganami zrobię!
Chyba ja polecę po kruka i kawkę,
A będziemy mieli z Turkami zabawkę.

Jak zielone siano kiej po sianożęci,
Leżą polem Turki, leżą bez pamięci,
Zlatują się kruki i kawki i wrony,
I psy nadciągają od przeróżnej strony.

I we Wiedniu mieście, wielkie kamienice,
Jedzie król Jan, jedzie w szeroką ulicę;
Jedzie król Jan, jedzie na siwku na przedzie,
Czapeczką potrząsa i pokręca wąsa.

Siedzi Niemka w oknie i tak myśli sobie:
— Śliczny ten kraj polski, a cóż ja też zrobię!
Tak ci mi naczynił swojemi wąsami,
Że mi tylko jechać z tymi Polakami.

Nie frasuj się Niemko bo tak źle nie będzie;
Niech tam każdy siedzi, kędy raz usiędzie.

Jak ci wojownicy Turków zwojowali,
Pięknie się skłonili, do dom pojechali.
Jedzie król Jan jedzie, na siwku na przedzie,
A Bogu na chwałę śpiewa wojsko całe.

Grześ z Mogiły.

Z życia ks. Biskupa Mermilloda.

Kiedy świątobliwy Biskup, ks. Mermillod, był jeszcze wikaryuszem w Genewie, nawrócił pewną damę protestancką tem, że ukląkł i oddał pokłon przed Najśw. Sakramentem. Miał on bowiem zwyczaj, że wieczorem, gdy czas było zamykać kościół, chodził zwiędzać Najśw. Sakrament, potem opatrzył lampę wieczną, przejrzał kościół, czy czasem kto się nie zczaił, aby kościół okraść, poczem sam kościół zamykał. — Pewnego wieczora, gdy już wszystko sprawił, ukląkł na stopniach ołtarza, pomodlił się chwilkę i oddawszy głęboki pokłon aż do samej ziemi, wstał, chcąc się oddalić. W tej chwili usłyszał szelest: drzwi od konfesyonału otworzyły się i do niego przystąpiła dama.

— Cóż pani tu robisz o tej późnej porze? — zapytał ks. Mermillod.

— Jestem protestantką, — odrzekła. — Słuchałam kazań passyjnych księdza i z nich przekonałam się, że Pan Jezus istotnie jest obecnym w Najśw. Sakramencie Ołtarza. Jednę tylko miałam wątpliwość: chodziło mi o to — daruj ksiądz, żem taka otwarta, — czy ksiądz sam wierzysz w to, co mówisz. Chciałam więc zobaczyć, czy ksiądz bez świadków oddasz także cześć boską Najśw. Sakramentowi i dla tego skryłam się w kościele. Teraz widziałam, przekonałam się i wierzę. Pragnę zostać katoliczką!

Dama ta żyje i jest jedną z najgorliwszych katoliczek w Genewie.

ZNALEZIONY KOŃ.

W pewnem miasteczku niedaleko Poznania, był komisarz, który pomiędzy innemi zaletami miał i tę, że strasznie nie lubił wydawać pieniędzy; a że ta zaleta w skrajnem przeciwieństwie była z bezustanną suszą jego gardła, czyli pragnieniem, które się niestety wodą ugasić nie dało, ale tylko wszelakiemi płynami, wyrabianemi z winogron, jęczmienia, ryżu, a chociażby i kartofli, których to płynów kupcy i szynkarze jeszcze nie nauczyli się dawać darmo, przeto, aby te przeciwieństwa ze sobą pogodzić, musiał się pan komisarz uciekać do przemysłu, który też znakomicie się opłacał.

I stało się pięknej pewnej nocy, że ni ztąd ni z owąd zjawił się koń na rynku miasta i jak szalony pędził wzdłuż kamienic. Stróże z razu pochowali się z bojaźni, bo sądzili, że to pokutnik jaki harcuje w postaci konia, ale gdy nad ranem się rozwidniło, przekonali się, iż to rzeczywisty koń bez pana i dali znać o tem panu komisarzowi, który konia zaprowadzić kazał do sąsiedniej oberzy i przewróciwszy się na drugi bok, spał dalej.

Przed południem obwoływał woźny po mieście, że znalazł się koń, a właściciel winien się zgłosić do magistratu. Równocześnie poszedł pan komisarz do sąsiada oberzysty i nie ciekawy wcale oglądać konia, napominał tylko oberzystę, aby konia dobrze pasł i potem, gdy właściciel się znajdzie, kazał sobie dobrze zapłacić, a jeżeli się właściciel nie znajdzie, no — to koń będzie sprzedany na licytacyi, a z dochodu, jaki ztąd wypłynie, zapłacą się nasamprzód koszta jego utrzymania, do których i śniadanko i rozmaite płyny dołączyć będzie trzeba, boć przecież niepodobna, aby tak wielkich trosk, jak starania o konia, aby nie miał krzywdy, aby był właścicielowi zwrócony, lub sprzedany na licytacyi, na czczo podejmować!

Gospodarz był tego samego zdania i pasł konia znakomicie, a pan komisarz codziennie przychodził dowiadywać się o zdrowie szkapiny, a że przy tej sposobności popłukiwano kieliszkiem wódeczki, przetrącano śniadanko, wypito piwka,

ponczyku, a czasem i buteleczkę wina, temu tylko ten dziwić się będzie, który się na tem nie zna i nie wie, co to kłopot o konia.

Minął czas przepisany, a właściciel się nie zgłosił, ogłoszono więc licytacyą na dzień targowy i przystąpiono do niej pod nadzorem samego pana komisarza, który atoli nie był w podwórzu, gdzie licytowano, ale w oberzy krzepił spragnioną duszę. Wreszcie wszedł, aby być przy zakończeniu licytacyi i przybiciu, a było to właśnie w tej chwili, gdy przewodniczący licytacyi rozdzierał się na całe gardło: "Pięćdziesiąt talarów po pierwsze! Pięćdziesiąt talarów po drugie! Pięćdziesiąt talarów po drugie — po drugie — i — — "

Pan komisarz spojrzał wtenczas po raz pierwszy na konia i — oniemiał. Zaledwie tyle miał sił, aby wstrzymać licytacyą, a potem usiadł, blady jak ściana, a nogi drzały pod nim, jak we febrze.

I cóż się stało? zapyta niejeden.

Oto pan komisarz swoją lichą szkapinę wkręcił pewnemu obywatelowi w sąsiedztwie, aby się cokolwiek podpasła. Szkapsko zatęskniło do domu i pewnej nocy drapnęło z pastwiska i przybiegło do miasta, a obywatel wiedząc, że koń uciekł do domu, dalej tej sprawy nie poszukiwał i dziwił się tylko, że go pan komisarz znowu nie przyprowadził. A ten koń, którego pan komisarz paść kazał i który tyle kosztów w oberzy i w biurze policyi narobił i ostatecznie poszedł na licytacyą był — własny koń pana komisarza.

FRASZKI.

Względy ekonomiczne. Ksiądz do znanego pijaka:

— Dla czego to nie idziesz do pracy?

— Nie idę jedynie ze względów ekonomicznych.

— Jak to rozumieć?

— Widzi ksiądz dobrodziej, rzecz ta tak się ma: gdy pracuję, to zwykle dostaję pragnienie, a skutek tego jest ten, że przepiję więcej aniżeli zarobię.

Grzeczna panienka. — "Ile dziewcząt w klasie?" zapytuje w pewnej pensyi nauczycielka.

Milczenie ogólne było odpowiedzią. — "Ileż dziewcząt jest w klasie?" zapytuje nauczycielka po raz drugi — i odbiera od jednej z najmłodszych, o energicznie zadartym w górę nosku odpowiedź tej treści:

— "Pań jest tu 18 — dziewczęta wszystkie w kuchni!"